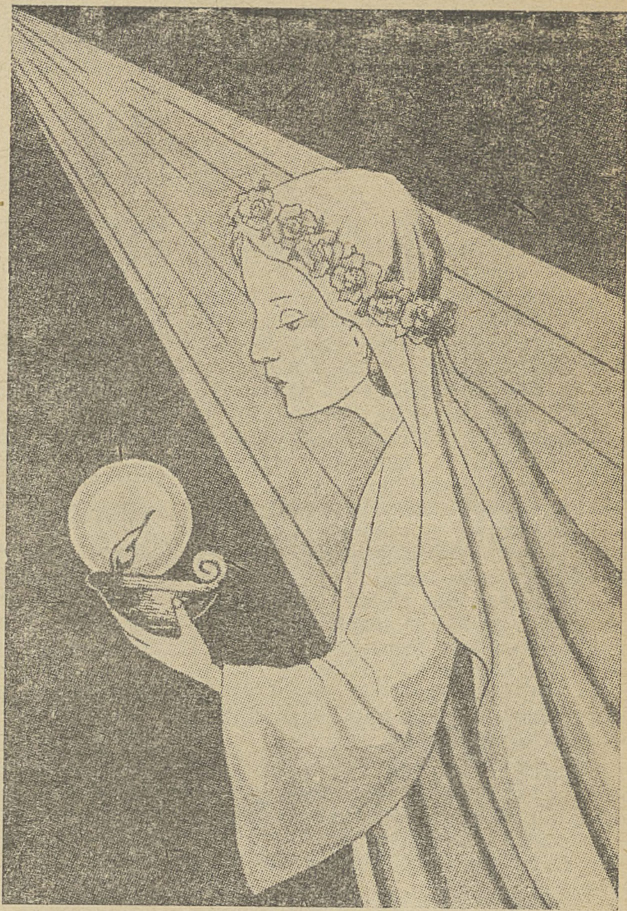
ŁAD BOŻY

TYGODNIK dla RODZIN KATOLICKICH

Rok 7 — Nr 3 (265) Włocławek, 28 styczeń — 3 luty Cena 60 groszy

MĄDRE PANNY



Nasz proboszcz mówił o pannach głupich, które nie miały oleju w lampach swoich i nie mogły wyjść ze światłem w ręku na spotkanie Oblubieńca. I mówił też o pannach mądrych, które miały olej w lampach i kiedy Oblubieniec podczas ciemności zjawił się wyszły uszczęśliwione na spotkanie, bo lampy ich płonęły jasnym ogniem.

Drogie dziewczęta! skierował do nas proboszcz wezwanie.

Gustownie ubrałyście się, wiele — ze smakiem. Wyobrażam sobie, każda co najmniej kilkakrotnie przejrzała się w lusterku i udając się dziś na Mszę, może nawet uczyniłaś to jeszcze tu, przed samą świątynią. I dobrze postąpiłaś sobie. Masz prawo podobać się i robić najlepsze wrażenie. Ba, strojem swoim chwalisz tu i Stwórcę oraz zdobisz, jak młody, śliczny kwiat, Dom Boży. Ale w kościele nie tylko znajdują się chłopcy. Jest tu ktoś, co patrzy cały czas na ciebie i nie spuszcza cię z oka, dziewczyno, i widzi nie tylko to, co przyszłaś tu pokazać — buzię i strój; lecz — i to dostrzega, co może chciałabyś ukryć: duszę twoją i stan jej higieny i jej piękna. Odpowiedz wobec Jezusa utajonego: czy piękną masz duszę? Czy czystą? Czyś wybierając się do kościoła, przejrzała też w jakimś lusterku — swą duszę, czyś pomyślała także o tym drugim swoim wyglądzie, wyglądzie sumienia, i co Pan Jezus na ten drugi twój wygląd powie, gdy cały czas będziesz tu stała oko w oko wobec Niego w Najświętszym Sakramencie? Jak się dla oczu Bożych wybrałaś, wystroiłaś do kościoła? Jak... jeżeli nie mogłaś przystąpić do Komunii świętej? Z natury brzydzisz się złem; dlaczego tedy w ciągu całego tygodnia nie postępujesz aż tak szlachetnie, by móc mieć tu prawo przystępować co niedziela do Komunii świętej? by sumienie nie krzyczało w tobie: Zgrzeszyłaś, nie wolno!" Czemu, dziewczyno, dziecko Boże, poprzestajesz na połowie starań o wygląd? Czemu się nie starasz robić najlepszego wrażenia tu, w świątyni, także na Panu Jezusie, by radować Go twoją urodą duszy. Więcej w życiu znaczy szczęście niż funt rozumu, a jak sobie zaskarbiasz tu na błogosławieństwo Pana Jezusa: bo przecież od Boga pochodzi prawdziwe szczęście?

SZCZĘŚLIWE DZIECIŃSTWO

Czy są rodzice, którzy nie pragną szczęścia swoich dzieci i nie są gotowi do poświęcenia się dla ich dobra? Wszyscy chcą widzieć swoje dzieci szczęśliwymi; lecz choć wszyscy do tego samego celu dążą, różnią się nieraz bardzo ich poglądy na to, co szczęście dziecka stanowi, i na środki, jakimi to upragnione szczęście osiągnąć można. Najpospolitszą formą uszczęśliwiania dzieci jest dogadzanie ich zachciankom, usuwanie z ich drogi wszelkich rzeczy niemiłych, wszelkich trudności, wymagających bądź fizycznego, bądź moralnego wysiłku, niewtajemniczanie ich w materialne troski rodziny, w ogrom pracy, jakiego zaspokojenie potrzeb codziennych i wychowanie dzieci wymaga od rodziców. Przy takim sposobie wychowywania dzieci nie osiąga się zamierzonego celu, bo dzieci, psute w ten sposób, nawet w danej chwili szczęśliwymi się nie czują, nie mówiąc już o tym, że później, w zetknięciu się z życiem, ciężko za ten sposób wychowania odpokutować będą zmuszone.

Dziecko, którego każde żądanie zostaje spełnione, wiecznie jest rozkapryszone i niczym mu w końcu dogodzić nie można, bo samo nie wie, czego chce. Wiemy wszyscy, że człowiek pragnie zdobywać coś własnym wysiłkiem, że praca twórcza jest mu źródłem największego zadowolenia; wiemy także, jak szybko następuje przesyt i niezadowolenie z życia u bogaczy, którzy nie mają żadnych pragnień, bo na wszystko sobie pozwolić mogą i nic zdobywać własną pracą nie potrzebują. Dusza dziecka nie innym podlega prawom.

Zdrowe dziecko ma czynną naturę i potrzebuje koniecznie ujścia dla swej wrodzonej energii. Gdy mu odbierzemy możność jej wyładowania, paczymy jego naturę i pozbawiamy je właściwej mu radości życia. Dzieci takich nikt prócz rodziców nie kocha. Nieznośnego bębna unikają nawet jego rówieśnicy, bo przyzwyczajony, że wszyscy stosują się do jego woli, że jest osobą najważniejszą w swym otoczeniu; nie posiada ustępliwości, ani innych cech społecznych, jakich wspólna zabawa wymaga. Pozostawiony sam sobie, patrzy z zazdrością na wesołą zabawę, z której został wykluczony, lub w której nie chce brać udziału, bo nie może w niej przewodzić i rodzi się w nim złość, czuje się upokorzonym, skrzywdzonym, nieszczęśliwym. Cierpi nie za swoje winy: jest ofiarą wychowania, które go szczęśliwszym od innych dzieci zrobić miało.

Dziecko do szczęścia nie potrzebuje ani wykwintnych zabawek, ani ele-

gańckich sukieneczek, ani smakołyków. Jedną z prawd, o której pamiętać warto jest fakt, że nie czujemy braku tego, czego nigdy nie mieliśmy, ale trudno nam obyć się bez rzeczy, które zaczęliśmy uważać za należne nam, bo mieliśmy je od kołyski.

Dusza dziecka rozwija się normalnie w atmosferze pogody, miłości i spokoju; ale obok wesołości powinno ono ocierać się o poważną stronę życia; powinno wiedzieć, że to, czym go darzą rodzice, muszą zdobyć dla niego ciężką pracą, bo zarówno nowa zabawka, jak książka, ubranie — to rzeczy, które wiele kosztują, i które nie wszystkie dzieci od swoich rodziców dostają. Dziecko trzeba nakłaniać do szanowania tych rzeczy, do utrzymywania ich w porządku, nie marnowania bez potrzeby nawet kartki papieru, tak często bezmyślnie wydzieranej z zeszytu; tłumaczyć, że marnując swoje rzeczy, marnuje pracę ojca i matki, że pozbawia ich wygód i odpoczynku. Tą drogą nauczy się dziecko oszczędności, a równocześnie obudzi się w jego serduszku wdzięczność za to wszystko, co ma.

Dziecko powinno się czuć członkiem rodziny, i w miarę możności, przyczyniać się do jej wspólnego dobra. Niech więc wyręcza matkę czy ojca w drobiazgach, niech nie wymaga usługiwania sobie tam, gdzie samo dać sobie może radę. Starsze dzieci niech pomagają młodszemu rodzeństwu w nauce — to najlepszy sposób przygotowania dzieci do pracy i samodzielności.

Troski rodziców i ich smutki nie powinny być obce dzieciom, o ile doszły do wieku, w którym je mogą zrozumieć. Dziecko ma tyle radości życia, że nie będzie się zbytnio martwiło i przejmowało zgryzotą rodziców; za to nauczy się myśleć poważnie i bardziej cenić te chwile szczęścia, które by może, bez chwilowego zmartwienia, uszły zupełnie jego uwagi.

Drobne niepowodzenia, odmówienie sobie pożądanej rzeczy lub rozrywki urabiają charakter dziecka i hartują go na przyszłe przeciwności losu. Nie trzeba się bać, że zamącą one jego wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa. Każdy człowiek ma to w swej naturze, że dłużej pamięta dobre, niż złe chwile. Cóż dopiero dziecko, które ma tę żywość wyobraźni, tę zdolność przerzucania się od smutku do radości! Wszyscy chętnie wracamy myślą do lat spędzonych w domu rodzicielskim i wspomnień z ławy szkolnej. Nie brakowało w nich przecież i pracy i niepowodzeń, i zawodów, a jednak zapodziało się to gdzieś wszystko i tylko wiemy, że dobre to były czasy! Prostota cechowała te wszystkie przeżycia i dlatego są nam one takie miłe. Prostoty, swobody i harmonii potrzeba dziecku, aby czuło się szczęśliwe.

L. G.

WINA

W małym pokoiku, przytykającym do sklepu Blażkowskich, znów dziś było głośno. Od pewnego czasu rozlegały tu się ciągle kłótnie. Teraz oto siedzieli oboje Błażkowscy, zamknąwszy swój sklep kolonialny na czas przerwy obiadowej, przy obiedzie — on, trzydziestoletni, przystojny mężczyzna chmurnym wzrokiem patrzał w talerz, ona, kobieta śliczna jak z obrazka, o jasno złocistych włosach i dużych, ciemnych oczach zła, zagniewana.

— Doprawdy, niewiem, czemu to tak się sprzeciwiasz — mówiła głośno — myślę, żal ci chyba pieniędzy, a przecież sklep nieźle idzie!

— Pieniędzy dla ciebie nie żal mi było nigdy, jeśli były wydane z pożytkiem! Ale na owe bzdurstwa...

— „Bzdurstwa", „wierutne głupstwa", „zachcianki" i co tam jeszcze wynajdziesz — przerwała mu, skubiąc nerwowo brzeg obrusa.

— Daruj, Ewo, ale tych „zachcianek" miałaś dość. Folgowałem prawie każdej. Ta ostatnia wszakże wydaje mi się wprost — śmieszna!

— Czy gra w filmie kiedy kogo ośmieszyła?

— Prawdziwa — nie. Ale tu — jakąś tam prywatną szkołę „filmówkę" otworzył wielki spryciarz, która, jak powstała szybko, tak po odarciu z pieniędzy naiwnych, zginie.

— Źle określarz Meszkowicza. To artysta.

— Dla rozentuzjazmowanych, przepraszam cię, wariatek.

Jakiś zapóźniony klient, jął dobijać się do bocznego wejścia, Błażkowski skoczył otworzyć.

Marek wrócił, usiadł znów przy stole, sięgając po deser. Zapalił papierosa. Rzekł:

— Czemuż nie jesz, Ewo?

— Odbiega mię apetyt, gdy pomyślę, że trzeba mi, kto wie jak długo, sprzedawać jajka — rzuciła ironicznie.

Marek. Nie zrozumiał.

— Ależ o sklepie ty sama zadecydowała! Czy nie powiedziałaś, że pracując w ten sposób, zdobędziemy może lepszą egzystencję? Mogłem wszak pracować w swoim zawodzie, jako technik.

Nie odpowiedziała. Powstała, podeszła do okna. Nagle rozpłakała się głośno.

Marek kochał żonę gorąco, uczciwie. Kocnała go i ona. Spokój zakłócił nowy kaprys żony, tym razem przewyższający wszystkie dotychczasowe. Sprzeciwiał się tej „filmówce", bo czuł, że miał rację.

Patrzał teraz na żonę, jak płakała dalej, ba, rozszlochała się żałośnie. Lecz Marek nie był obojętny. Podszedł, objął ją, przytulił, mówiąc miękko:

— Nie płacz, Ewuniu...

Rozszlochała się jeszcze bardziej. Wtedy, stając się naraz dziecięco bezradnym, rzekł:

— Ależ nie płacz, nie płacz! I jeżeli już tak bardzo chcesz...

Ucichła w płaczu. Rozradowana, objęła go za szyję, ucałowała.

— Zobaczysz — mówiła — wszystko będzie jak było! Już ja przypilnuję! Nawet nie spostrzeżesz, że w ciągu dnia zniknę na parę godzin!

Stało się więc jak chciała Ewa i, na pozór nic się nie zmieniło od czasu, gdy poczęła wychodzić do „filmówki".

Po pewnym tylko czasie trzeba było przyjąć ekspedientkę do pomocy, gdyż nieobecność Ewy w sklepie stawała się coraz dłuższa.

Jednego wieczoru, Marek spytał:

— Kiedy wreszcie skończy się to wszystko, Ewo?

— Jutro otrzymam dyplom.

— Nareszcie! — ucieszył się — zaspokoiłaś swoją zachciankę i teraz będzie znowu, jak dawniej, prawda,

Zadźwięczał dzwonek, przyszedł Meszkowicz. Marek nie lubił tego obytego, starszego pana, o rozbieganych, kryjących się za binoklami oczach i dał mu odczuć swą niechęć, ale Meszkowicz — o, ten należał do gatunku ludzi, którzy nie zrażają się niczym!

— Witam szanownych państwa! — witam! Pani dobrodziejce do nóżek padam! Szanownemu panu mam przyjemność zakomunikować, że plenery wypadły znakomicie! Fotogeniczność pani Ewy jest nadzwyczajna, co tu mówić, szanowna małżonka pańska to skończona artystka! Dwuaktówka nasza została zakupiona, uważa pan, zakupiona! Jutro wyświetlimy ten film dla ścisłego grona, zobaczy pan na ekranie swoją panią — artystkę! — zwrócił się z ostatnim słowem ku promieniejącej Ewie, ukłonił, ogarniając pożądliwym wzrokiem śliczną twarz młodej kobiety i smukłą postać.

Wzrok ten Marek uchwycił. Zachmurzony, niechętny, rzekł:

— O rzekomym talencie żony mówi tylko pan. Zresztą — uważam to wszystko za głupstwa!

— Ależ proszę pana! Dla pani Ewy droga artystyczna stanąć może otworem! Szczęście puka...

— Dla kobiety prawdziwym szczęściem to własne ognisko domowe, dzieci zwłaszcza jeśli je już posiada.

— Ależ szkoda zdolności! Przy moim poparciu pani Ewa może być zaangażowana do filmu, a potem zagranica, sława, bogactwo...

Marek spojrzał na żonę — oczy jej błyszczały, wzrok był daleki, rozmarzony. Ogarnął go nagły lęk.

Rzekł twardo, zdecydowanie:

— Jaki pan ma w tym wszystkim interes? I — czego pan szuka w mym domu?!

Meszkowicz zmieszał się. Bąkał:

— Ja... Proszę pana... Ja... Talent... Możliwości na przyszłość...

W tej chwili do pokoju wtargnęła parka przemiłych dzieciaków. Biegły ku matce z radosnym krzykiem.

— Jesteś nareszcie, mamusiu! Jak to dobrze, że przyszłaś! — wołała dziewczynka.

— Pocałuj mię, pocałuj! — dopominał się pieszczoty chłopczyk, wdrapując się na kolana matki.

— Chodź, mamuś, zaśpiewaj nam piosenkę do snu, jak dawniej!

— O, tak, mamuśko, chodź! — tłuste rączyny małego chłopczyka oplotły szyję matczyną gorącym uściskiem.

Marek ogarnął wzrokiem tą trójkę — jakiż śliczny tworzyła obrazek. Wszystkie jego dążenia, wysiłki, zmierzały ku tym trzem istotom, bezmiernie ukochanym. Lęk czy przeczucie znów chłodem ścisnęło mu serce. Zacisnął zęby. Stanął przed Meszkowiczem.

— Więc?

— Ależ Marku!! — zawołała Ewa, pragnąc daremnie uwolnić się od dzieci

— Marku!!!

— Pan... Pan... — Seplenił Meszkowicz — pan...

— Nie życzę sobie obecności pana w mym domu, teraz — i nigdy!!

Meszkowicz, czerwony aż po wierzch wydatnej już łysiny, skłoniwszy się z daleka Ewie, wyszedł. Ta chciała biedz za nim, wołać, ale i tym razem nie mogła się uwolnić od dzieci. Krzyknęła:

— Jesteś brutal! Przecież on się obrazi... A ja... A ja...

— Nic mi nie zależy na obrazie tej kanalii! Dosyć już głupstw rozumiesz? Chcę cię uchronić przed czymś, z czego nie zdajesz sobie może sprawy! Chcę także już raz nareszcie spokoju w domu!

Niestety, spokój nie wrócił. Kłótnie wybuchały coraz częstsze, wywoływała je zawsze Ewa. Była to teraz zła, porywcza kobieta. Marek cierpiał w milczeniu. Dzieci tylko stały się nadmiernie trwożliwe — ręka matki tak skora była teraz do bolesnych klapsów!

Tak było do dnia, kiedy to Ewa powróciła z miasta i kiedy zgnębiony Marek ujrzał na jej twarzy uśmiech. Za uśmiechem przyszły miłe słowa — Ewa w jednej godzinie stała się dawną, słodką Ewą. W domu pojaśniało, zalęknione dzieci wyszły z kątów, napełniając mieszkanie dawnym, radosnym śmiechem.

Miły był tego dnia wieczór w domu i pozostał na długo w pamięci Marka.

Następnego dnia poszedł Marek do sklepu sam, gdyż Ewa, jak mówiła, czuła się niedobrze. Wracał późnym wieczorem, mimo czego nie zapomniał kupić w kwiaciarni wiązanki białych goździków — Ewa wszak lubiła te kwiaty — Tak, tak, Ewuniu — szeptał do siebie otwierając drzwi z zatrzasku jak najciszej — ów granatowy kostium, który ci się kiedyś tak podobał, otrzymasz, a także — urwał nagle, rozglądając się po pokoju nieoo bezradnie w nagłym zdumieniu — oto z napół uchylonej szafy wyglądały porozrzucane rzeczy, poniewierały się i po krzesłach. „Nie miej do mnie żalu czytał za chwilę pożegnalne słowa, na małej kartce papieru leżącej na stoliku — wyjeżdżam, nie mogę inaczej... Tamowałeś mi drogę do szczęścia, rozstaję się więc z tobą w ten sposób..."

Przejęty nagłym bólem do głębi, ogarnął znów pokój spojrzeniem zatrzymując je na jasnych główkach uśpionych dzieci, nieświadomych tego, iż opuściła je matka. Z piersi Marka wyrwał się głęboki jęk — zapłakał.

— — — — — — — —

Upłynęło dwa lata.

Był styczniowy, mroźny wieczór. Marek siedział przy stole, kreśląc plany na rozłożonych przed sobą arkuszach.

Jakże zmienił się przez te dwa lata! Twarz miała wyraz wielkiego znużenia, policzki były zapadłe, czoło w bruzdach. A przecież był to człowiek młody jeszcze, miał zaledwie lat trzydzieści kilka! Nagle zadźwięczał dzwonek. Powstał niechętnie — któż to mógł być?

W progu, ośnieżona mocno, w swym szerokoskrzydłym kornecie na głowie stała siostra — szarytka. Zdziwił się.

— Siostra do mnie? To chyba pomyłka.

— Chciałam porozmawiać z panem Markiem Błażkowskim — powiedziała cicho — czy to pan?



Ucieczka do Egiptu.

— Tak, tak... Proszę, niechże siostra wejdzie — Marek, sam nie wiedząc dlaczego, czuł się nagle poruszonym — tędy, tędy siostro... Proszę... Proszę dalej.

Lecz siostra pozostała w przedpokoju, mówiąc iż bardzo się spieszy, nie ma więc wiele czasu na to, co chce mu oznajmić.

— Przywieziono dziś do szpitala młodą kobietę, nieprzytomną po krwotoku płucnym — mówiła swym cichym, spokojnym głosem — całą we krwi. Przed paroma godzinami odzyskała przytomność... Opowiedziała mi pokrótce swoje dzieje, prosząc tak serdecznie i tak natarczywie, płacząc przy tym boleśnie, by pójść do pana... Nie mogąc oprzeć się owej rozdzierającej prośbie, przyszłam. Powinien pan pójść. Jest to żona pana. Nie przeżyje nocy... Proszę pamiętać iż Chrystus, nasz Pan, uczył miłosierdzia i przebaczenia...

Siostry już dawno nie było, a Marek stał ciągle w tym samym miejscu, patrząc bezmyślnie na płatki śniegu, bielejące na podłodze, spadłe z odzienia Szarytki. Aż nagle sięgnął po palto, nałożył kapelusz — poszedł.

Ta sama cicha siostra, poprowadziła go w głąb sali, pomiędzy rzędy łóżek, ku ostatniemu posłaniu przy ścianie.

Marek spojrzał i — przejęła go zgroza. Leżał oto przed nim łachman człowieczy — wynędzniała niezmiernie kobieta, mało przypominająca żywego człowieka. Nie byłby jej poznał, gdyby nie oczy. Te tylko pozostały z całej urody ślicznej ongiś Ewy — wielkie, ciemne, piękne. Te to oczy właśnie wpatrzyły się w Marka, o, jakże patrzyły chciwie! Musiał wyczytać w nich wiele, bo rękę swoją położył na jej głowie, przesunął delikatnie po roztrzęsionych, jasnych włosach.

Wówczas ona ujęła z wysiłkiem te jego dłoń i przywarła doń ustami. Szeptała przerywanie:

— Bałam się... że mi... że mi nie przebaczysz... Marku... Bo ja cię przecież... Tak bardzo... Skrzywdziłam... Marku...

Chciał jej powiedzieć, że skrzywdziła przede wszystkim siebie i to okrutnie ale młoda, umierająca kobieta rozpoczęła swą spowiedź, wyszeptaną spalonymi gorączką wargami bolesną spowiedź, z długimi nieraz przerwami. Słuchał tej spowiedzi Marek, trzymając dłoń żony w swych rękach z pochyloną głową, głęboką fałdą na czole, bolesnym skurczem ust.

Zapadła cisza zupełna, chora skończyła swą spowiedź. Umilkł jej rozstrzęsiony szept, zaś Marek siedział bez ruchu, jakby zmartwiały, mimo iż szloch wewnętrzny ściskał mu gardło, a ból rozdzierał serce.

Umierająca zaszeptała znów:

— O, czemużem cię nie posłuchała... Tyś wiedział... Meszkowicz był zły, cuchnący, jak padlina... wiesz o wszystkim... I ja... I ja zło musiałam czynić... Nie miałam wyjścia... Kłamstwem, blagą... Wierutną... Była obiecywana sława, bogactwo... O, jakżem... ja... tęskniłam za dziećmi...

Marek nadludzką siłą zdusił w sobie szloch, pochylił się, ujął napowrót jej dłonie.

— W takim to błocie żyłam... Marku... W takim... I w nędzy... Później... Później przyszła choroba...

Cóż jej miał rzec? Umierała oto w całej świadomości winy i krzywdy zadanej, czyż miał mówić o tym, że po jej odejściu zapadł na ciężką chorobę, że przyszła ruina majątkowa. I okrutne osamotnienie — Haneczka wszak od roku już na cmentarzu, a Juruś daleko u siostry, chowa się wraz z jej dziećmi...

A oto znowu zaszemrał szept:

— Marku... Czy Haneczka... Już duża?

— O, tak... Duża... — skłamał.

— I... Juruś?

— I Juruś. Do szkoły począł chodzić...

I znów cisza. W którejś chwili odczuł iż dłonie jej w jego rękach poczęły ciążyć dziwnie, stały się chłodne. Wtedy złożył je na piersiach zmarłej, a ocierając łzę, która wybiegła na rzęsy, szepnął:

— Pokój z tobą, Ewo. —

E. Drzew.

Lepiej się człowiek czuje, ochotniej żyje i lżej umiera gdy jest świadom i pewny swej nieśmiertelności.

Wszystkiemu, co robisz (choćby to była rzecz najdrobniejsza), oddawaj się całkowicie, a nie połowicznie.

RAZEM DO DOBREGO

Czy naprawdę trzeba aż uzasadniać, że człowiek powinien być apostołem, pionierem tego co kocha, co ma w swej duszy? Tylko człowiek pusty wewnętrznie, bezideowy nie zrozumie nigdy potrzeby promieniowania nazewnątrz, bo w nim zimnica i pustka, a do promieniowania trzeba ciepła i światła!

Głęboko szlachetny i 100% człowiek nie może dnia przeżyć bez promieniowania na innych. Trzeba tylko samemu się cieszyć tym, co innym pragniemy zanieść. Jako niewiasta ewangeliczna, która znalazła zagubioną drachmę, zwołała sąsiadki do domu swego i z uciechą powtarzała „znalazłam drachmę, którą zgubiłam".

Wiemy dobrze jak trudno wytrzymać i nie podzielić się świeżo otrzymaną i ciekawą nowiną z przyjaciółmi i znajomymi!

Kto prawdziwie kocha Chrystusa i docenia jego nauke, biegnie do bliźnich i woła: znalazłem Chrystusa, którego zgubiłem, „wesołą nowinę bracia słuchajcie!" W cynicznym środowisku otrzymasz przy swoich zapałach wiadro zimnej wody w postaci słów: „A cóż! czy ja jestem stróżem brata swego", co mnie obchodzą inni.

To nawet w lesie jedna sosna podpiera drugą podczas silnego wiatru. A człowiek miałby być obojętny wobec innych ludzi?

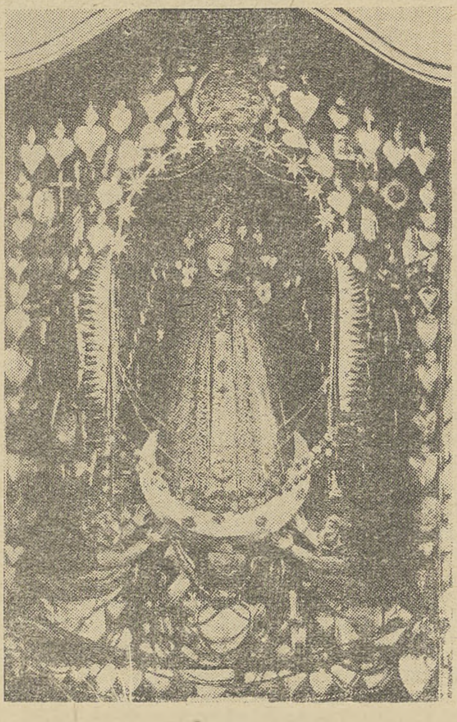
Właśnie jesteś stróżem brata swego! Jesteś wówczas gdy ogarniasz wszystkich na ziemi słowami modlitwy: „Ojcze nasz!" gdy śpiewasz: „Pod Twą obronę Ojcze na niebie grono Twych dzieci swój powierza los". W rodzinie Bożej, a tymbardziej chrześcijańskiej, zespolonej krwią Chrystusową nie ma obcych. „Wszyscy jesteśmy jedno w Chrystusie". „Nie może — uczy św. Paweł oko powiedzieć ręce: Nie potrzeba mi ciebie; albo znowu głowa nogom: nie jesteście mi potrzebne". A wy jesteście ciałem Chrystusowym jedni drugich członkami".

Znamy dwa rodzaje światów: świat zewnętrzny, nieogarniony, potężny i świat wewnętrzny, naszych myśli uczuć i pragnień. Boża wszechmoc utrzymuje przy istnieniu ogromne kosmosy i zaprowadza w ich ruchy przedziwny porządek. Mamy w pracy twórczej naśladować Boga samego. Ale nie nam w ruch wprawiać nieprzebyte mgławice! Nasza dziedzina w porządkowaniu i tworzeniu światów — to dziedzina, zgodnie z Bożym porządkiem, tworzenia własnego świata wewnętrznego, myśli uczuć i pragnień, tworzenia świata wewnetrznego naszych bliźnich. Choć to nie literatura, nie medycyna, nie inżynieria, to jednak wspaniała dziedzina twórczości... Każdy wzniesiony most przeznaczony jest wcześniej czy później na zniszczenie, dom musi runąć, nawet z betonu. Porządek zaprowadzony do myśli czy uczuć bliźniego może przetrwać na wieki.

Każdy słyszał już dużo o bardzo popularnym środku leczniczym — penicylinie. Nie zabija bakterii w organiźmie, nie wprowadza jakichś cudownych zmian. Stwarza tylko swoją obecnością takie warunki, w jakich żadna bakteria nie zrobi kroku naprzód nie może się już wcale rozmnażać. Z tymi, które już się znalazły w organiźmie wojownicze białe ciałka krwi sobie zupełnie poradzą.

Gdziekolwiek jesteś tak się zachowuj, aby żadna bakteria zła nie rozmnażała się w twojej obecności, a te które są same się szybko wykończą. Chodzi poprostu o dobry przykład.

Exempla trahunt — przykłady pociągają. Gdyby oficer pierwszy nie wybiegł z okopu, a tylko wołał do ataku, to żaden żołnierz nie wychylił by głowy i nie dał by się od ziemi poderwać.



Matka Boska Skępska

W człowieku jest silna skłonność do naśladownictwa. Niekiedy przesadna. Na skłonności do naśladowania opierają szybkie zmiany mód, wpływ wychowawczy... Wodzów w społeczeństwie jest mało. Ludzie lubią w większości chodzić po wydeptanych śladach, „Za panią matką". Trzeba więc wysunąć się naprzód.

Jak jeden walący się filar w budowie grozi zawaleniem całej świątyni, tak, jeden zły człowiek grozi świątyniom społecznym: rodzinie i społeczeństwu, klasie i szkole... grozi ruiną.

Apostołów dobra nazywa Kościół prawdziwe światła świata.

Apostołom zła grozi Chrystus strasznym biada... „Biada światu dla zgorszenia".

Gorszycielom obiecuje Pan Jezus głębokości morskie z kamieniem u szyi.

I nie można mówić, brnąc w grzechach: w pijaństwie, w wyzysku innych, a co komu do tego! to moja osobista sprawa. Nie ma osobistych spraw, żyjemy razem i jesteśmy pod wzajemnym wpływem, dobrym lub złym. To tylko Robinzon Kruzoe, na wyspie, i do czasu spotkania Piętaszka, mógł sobie mówić, a co to komu do tego? W robinzonadę mogą bawić się tylko dzieci.

Można być apostołem nie tylko przez dobry przykład, można być nim również przez dobrą modlitwę. Dla Boga zdobywa się dusze tylko z bożą pomocą. Św. Teresa nigdy nie była na misjach. Została jednak patronką misji. A została przez swoją gorliwą modlitwę o nawrócenie pogan.

Patrząc na smutne i przygnębione twarze znajomych iść do nich z pogodą i uśmiechem, ze śpiewem na ustach. Smutek jest zaraźliwy ale i śmiech jest zaraźliwy. Radością wolno wszystkich zarazić! Jeżeli gryzie cię jakie zmartwienie a twarz twoja posępna, lepiej nie wychodź z domu. Wejdź do komory... Nie mów o przykrych, zwłaszcza o swoich przykrych rzeczach, nie maluj wszystkiego w czarnych kolorach. A gdy noc ciemna to i wtedy szukaj i pokazuj choćby mała gwiazde na niebie... a przede wszystkim tę betlejemska, zwiastująca narodzenie Chrystusa w duszach ludzkich.

Nie tylko sam idź na mszę niedzielna, nie tylko sam do spowiedzi, nie tylko sam do komunii, przyprowadź tych, którzy się ociągają, a którym twój przykład, twoja zachęta zupełnie wystarczy. Bądź apostołem praktyk religijnych, bez których nie ostoi się wiara, nie zapali się miłość, nie powstanie męstwo!...

Żalisz się zbyt często na swoje trudy! A zwłaszcza wtedy gdy spotka za dobrodziejstwo czarna niewdzięczność. To nic nie daje! —

Nie pomoga próżne żale
Trud swój Bogu trzeba zlecić,
A samemu wciąż wytrwale,
Śmiało naprzód iść i świecić!

S. P.

Za mało kapłanów

W krajach Ameryki Południowej i Środkowej liczba mieszkańców wynosi ok. 154 milionów, a kapłanów katolickich jest tylko 25.000, to znaczy, że na 1 kapłana wypada średnio 6.200 dusz. Ponieważ jednak wielu kapłanów zajętych jest w szkolnictwie, więc na każdego duszpasterza średnio wypada 10 tysięcy dusz, a powinno na 1 kapłana wypadać 1.000 dusz. Liczba katolików w Ameryce Łacińskiej znacznie wzrosła, ale liczba kapłanów jest znikoma. W krajach Ameryki Łacińskiej jest 277 diecezji, 30 wikariatów apostolskich i 20 prefektur apostolskich, czyli razem 327 okręgów kościelnych. Parafii wszystkich jest 11.000. Około 100 diecezyj jest takich, z których każda ma ponad pół miliona dusz, a 21 jest takich, z których każda liczy ponad milion dusz. W Guatemali na 4 miliony mieszkańców jest tylko 130 kapłanów, czyli jeden kapłan ma do obsługi 30 000 dusz. Natomiast zupełnie inaczej jest w Ameryce Północnej. W Kanadzie na 1 kapłana wypada 500 katolików, a w Stanach Zjednoczonych jest kapłanów katolickich 42.334.

Jeśli postępuję uczciwie, a nie krętaczę, to nie dlatego, że kretaczyć nie umiem, jeno dlatego, że kretaczyć nie chcę; gdyż wiem, iż dalej zajde uczciwością niż krętactwem i że w ostatecznym wyniku cnota nad podłością zatriumfuje.

DLA KOBIET

W obronie dziecka

Dziecko polskie kochające zawsze swoją matkę cieszy się jednakże, o ile raz do roku specjalnie w Dzień Matki może publicznie wyrazić jej hołd i miłość niezakłamanego serca dziecięcego. Popatrzmy jednakże przez pryzmat dnia codziennego na życie matki-Polki i na nasz stosunek do niej właśnie w każdym cichym dniu codziennej niekończącej się pracy, a zwłaszcza matki kilkorga dzieci. Dobrze, o ile w domu tej kobiety jeszcze jej matka przebywa, lub ktoś z rodziny mieszka w tej samej miejscowości, wtedy w razie potrzeby tak ona ma pomoc jak i dzieci dodatkową opiekę. Brak tychże osób, to jeden z dodatkowych krzyżyków, gdy dom rodzinny nawiedzi choroba, lub inne nieszczęście.

A jaki nasz stosunek do niej? Nasz stosunek nie tylko jako katolików, ale i jako obywateli kraju, w którym na skutek niszczycielskiej działalności okupanta kilka milionów Polaków straciło życie, a tym samym pomniejszyła się i siła populacyjna Narodu.

Zdawaćby się mogło, że obowiązkiem moralnym każdego z nas powinno otaczać się te rodziny specjalnym szacunkiem, zwłaszcza w odniesieniu do matki ponoszącej nie tylko trud macierzyństwa, ale i wychowania swej gromadki dzieci.

Na szczęście nie brak i tych właśnie prawych ludzi, którzy z własnego poczucia nie tylko dobrym słowem, lecz i czynem w życiu codziennym uznają ten trud i okazują czynną życzliwość dla matki małych dzieci.

Lecz nie brak i odwrotnej strony medalu. I przyznać trzeba, że mężczyźni są raczej więcej wyrozumiali dla licznego potomstwa. Być może, że po prostu nie wczuwają się w stan duchowy i fizyczny kobiety w macierzyństwie, rozstrząsają te sprawy z punktu finansowego, będąc zresztą zaabsorbowani kłopotami wyżywienia własnej rodziny.

Natomiast kobiety znajdują zaraz w tym wypadku temat do obszernych „ploteczek" i „politowania", które zwykle zaczynają się od zdań:

— Mój Boże, pani znów...???

— Ach ludzie, co wy na te ciężkie czasy robicie??? i wiele innych „ach" i „och" podnosi wzdychająco piersi „litościwych" sąsiadek, a zwłaszcza starych panien, które najmniejsze mając pojęcie o dziecku „sypią" spóźnionymi „radami", jak dane małżeństwo powinno wystrzegać się „nadmiaru" tego — błogosławieństwa. Nie litość zresztą zawsze niemi kieruje, ale często egoistyczna obawa, że znowu jeszcze jeden krzyk dziecka „zakłócać" im będzie z sąsiedztwa bogobojną ciszę. Ale temat na „plotki" starczy na szereg tygodni, że to przez to dzieci zaniedbane będą, że to nowe wydatki, jak ona sobie da radę z tylu dziećmi... A im więcej „litości" w słowach, tym więcej z góry zastrzegać się będą, że nie mogą nic pomóc, bo przecież one mają tyle pracy...

I smutne to tym więcej, że paniusiom tym obgadywanie nie stoi w sprzeczności z chodzeniem do kościoła, że udawając pobożność same chętnie słuchają wszystkich „rad", aby broń Boże nie spotkało je takie „nieszczęście" w osobie jeszcze jednego dziecka. Przecież one nie mogą sobie pozwolić na to (ale na suknie, ciasteczka, szminki, kina, zabawy — owszem) i nie mają nerwów, aby jej się „bęben darł" (ale uszy nie puchną jej na dancingu od dzikich kociokwików), straciłyby młodość na „pieluchach" (bo nie byłoby czasu na przelotne flirciki) i tak bez końca powody, aby — owszem użyć i wyżyć się, ale bez braku odwagi na dziecko — tak zaszczytny cel w życiu kobiety mężatki.

Czas więc uderzyć się w piersi i zmienić stosunek do rodzin wielodzietnych, a zwłaszcza tych matek, które zdrowie często ryzykują dając życie obywatelowi Polski. Czas, abyśmy zrozumieli, że obowiązkiem nas — mieniących się katolikami — jest pełna życzliwość dla tych rodzin i kobiet.

Państwo nasze stworzyło prawo i opiekę dla rodzin dzietnych i kobiet w macierzyństwie, a my w życiu codziennym dołóżmy do tego więcej szacunku dla tych Polek które powinny stać się przykładem dla wielu innych—zbyt długo namyślających się i starających się usilnie nieraz (o zgrozo!) o to, aby dziecko narodzone nie wniosło w dom radości i miłości.

Najlepszy dyplom dla matki Polki, to własne jej dzieci, przez nią wychowane na dobrych obywateli i katolików. Szczęście dla niej wyciągnięte rączeta z kołyski, radość — zdrowie i dobrze uczące się dzieci i spokojne lata starości — przy boku dobrze wychowanych synów i córek.

Cel życia nie zmarnowany, lecz osiągnięty z pełnym zachowaniem duszy i spełnionego obowiązku życiowego.

Szczęście pani Maryni...

Podobnie widocznie ksiądz przemawiał i do ojców rodzin, bo w naszej parafii zaczyna być modą kultura panowania nad sobą u mężów i prawdziwy szacunek dla żon. Gdyby na to nie patrzeć, nigdybym nie uwierzyła, że mężczyzna może się zdobyć na tyle szlachetności wobec kobiety.

Ale miałam opowiedać tylko o nowych zwyczajach w naszej parafii, a przeszłam mówienie o mężczyznach. Trudno, zresztą, nie wspomnieć i o nich gdy się widzi szlachetne przemiany. Wpada, na przykład, do mnie któregoś dnia sąsiadka i płacze ze szczęścia:

— Pani! — mówi — Bóg da mi nowe dzieciątko. Z lękiem zwierzyłam się o tym mężowi, bo już mamy dwoje maleństw, w domu się nie przelewa, a tu idzie trzecie. Tymczasem mój mąż spojrzał tak czule na mnie jak nigdy, ucałował mnie i powiada: „Złota, dobra Maryniu, dziecko to skarb Boży, uklęknijmy i podziękujmy za nie Stwórcy". Nigdy tak dawniej nie mówił. Pierwszego, to jeszcze chciał. A gdy o drugim mu wspomniałam, to zelżył mnie od ostatniej. A teraz: jak pięknie mój Andrzej się wyraził! Pani, to nie ten człowiek! I pić przestał. I ze mną lubi w domu posiedzieć. Dzieci zabawi, sam się przy tym rozerwie. Aż żyć mi się teraz chce! Ksiądz, nasz nowy ksiądz tak go przerobił!



Ale nie dokończyłam jeszcze o pani Maryni. Powiedziała mi ona przecież więcej. Mianowicie, gdy wiadomość o nowym dzieciątku zwierzyła swemu Andrzejowi, uchwalili oboje, że w najbliższą niedziele udadzą się do spowiedzi i przyjmą Pana Jezusa w intencji nowej dzieciny, a potem wspólnie uklękną i ofiarują owo dzieciątko nienarodzone — Niepokalanemu Sercu Matki Bożej. Żeby dzięki temu było szczęśliwe i rodzice z nim szczęśliwi i ludziom dziecko to, gdy dorośnie, by przynosiło szczęście.

Zamiast więc zabijać poczęte kruszynki, teraz ofiarowuje się je Niepokalanemu Sercu Matki Bożej. Jest to nowy zwyczaj w naszej parafii, czyż nie piękny?

Ksiądz proboszcz uczy: nie zabijać dzieciątek nienarodzonych i starać się o stały pobyt Boga w duszy: oto dwie wielkie myśli, które nam przyswoił ksiądz proboszcz. No i te nowe w związku z tym zwyczaje: ofiarowywanie takich kruszynek Niepokalanemu Sercu i kultura wstrzemięźliwości. „Szczęśliwy mężczyzna wstrzemięźliwy!" — lubi głosić nasz ksiądz. I czyż nie ma racji?

Mieczysława Kubik

Od baśni do prawdy

(rozmowa matki z dzieckiem)

Snuje się mrok zimowego dnia, za oknem bezszelestnie pada śnieg wielkimi, puszystymi płatami. Mamusia wtuliła się w kąt kanapki, a do jej kolan przylgnęła główka sześcioletniego chłopczyka. Dobrze im razem, tak dobrze.

— Mamusiu! Co? — Mamusiu! Czy święty Mikołaj przyjdzie dzisiaj? Tak, przyjdzie, jak zaśniesz, synusiu.

— A dlaczego on zawsze tylko w nocy przychodzi? — Bo widzisz, św. Mikołaj, gdy żył jeszcze na ziemi, był biskupem bardzo miłosiernym, wiedział, gdzie bieda, gdzie i komu pomoc potrzebna, ale unikał podziękowań i wdzięczności: co czynił, to dla Boga swego czynił — i dlatego dary swoje roznosił nocą, wrzucał je przez okno

do chat biedaków, albo kładł pod progiem, a że bardzo miłował dzieci, więc i dzieciom wiele dobrego uczynił.

— A teraz, mamusiu, czy naprawdę z nieba schodzi? A jeżeli schodzi, to dlaczego Wituś z sąsiedniego domu nic przeszłego roku nie dostał, a ja, co mam tatusia, i mamusię, i wszystko, co mi potrzeba, dostałem tyle ślicznych zabawek? — Ach, Boże!

Mamusia patrzy w błękitne, uważne źrenice, co na dnie jej duszy chciałyby znaleźć prawdę, przygarnia jasną główkę i uśmiecha się. — Jesteś już duży, synku, i baśń może się już dla ciebie stać prawdą. To nie święty Mikołaj chodzi, tylko ludzie obdarzają się wzajemnie, ale czynią to na pamiątkę owego miłosierdzia św. Mikołaja. Każdy, co cię kocha, pragnie ci sprawić radość, każdy coś pod poduszkę włoży, a jednak, czy ci to kupi mamusia, tatuś, czy babcia, to jednak prawdą jest gdy ci powiedzą, że przyniósł ci to św. Mikołaj: bo on pozostawił ludziom przykład czynienia drugim dobra tak, by nie wiedzieli o tym, kto dał — ot, jak gdyby z nieba spadło! A nie myśl, że biednym nic nie przynosi: matki szczęśliwe pamiętają o dzieciach tych, którzy na dary nie mają, i niosą także dary do szpitali dziecięcych, do żłobków, a gdy kupują swoim dzieciom pierniki, to znajdzie się jeszcze groszy kilka na „Mikołaja dla Witusia z sąsiedniego domu.

Chłopczyk przycisnął rozczerwienioną buzię do ramienia mamusi: — Więc to jednak nie święty Mikołaj?... A jednak św. Mikołaj, bo to jego dobroć pobudza serca do czynienia dalej dobra.

— A? — Cóż tam jeszcze synuś pragnie się dowiedzieć? — A... aniołek, mamusiu? — Widzisz, do stajenki, gdy Chrystus Pan się narodził, pospieszyli pasterze z darami, pospieszyli i królowie: każdy niósł, co mógł, na co go stać było, by Bożą ucieszyć Dziecinę, i stało się Boże Narodzenie wielkim świętem dzieci. Więc, kto kładzie pod drzewkiem zabawki, mamusiu? — Tatuś, albo mamusia!... — Nie aniołek?! A ja tak wierzyłem!...

W błękitnych oczach drży wyrzut, usteczka wyginają się żałośnie, a mamusia go tuli: — A jednak aniołek i Boże miłosierdzie, syneczku. Przecież to ty, mamusiu! sama powiedziałaś?! — Tak, ale widzisz: Bóg sprawia, że jesteśmy zdrowi, możemy pracować, pracując, zarabiamy i możemy obdarzać podarunkami nasze dzieci. Gdyby Bóg zdrowia nie dał, gdyby nie dał pracy i możności zarobku, to nie mielibyśmy ani za co kupić drzewka, ani go przybrać, ani nie moglibyśmy położyć pod nim żadnego daru. Zrozumiałeś więc: gdy prosisz aniołka, by ci co przyniósł, to prosisz go o zdrowie dla rodziców, aniołek roztoczy wtedy swoją niewidzialną opiekę i sprawi, że będziemy w stanie ucieszyć naszą dziecinę w owym dniu radosnym.

Zrozumiałeś teraz? Para ciepłych ramion otacza jej szyję. — Zrozumiałem, matusiu!

— A gdy twój dobry aniołek skłoni cię do czynienia dobra, gdy będziesz grzeczny, pilny, posłuszny, — to czyż nie jemu będziesz miał do zawdzięczenia, jeżeli pod drzewkiem znajdziesz nika albo pociąg. Każda zasługa znajduje wynagrodzenie, i dlatego dzieci dobre, posłuszne więcej dostają, aniżeli te, które martwiły rodziców. Więc widzisz, że mówiliśmy ci prawdę: aniołek przyniósł ci te dary i przyniesie, chociaż za pośrednictwem rodziców!

Za oknem cicho się kładzie biały puch śniegu, szeroko rozwarte oczy chłopczyka patrzą na ulatujące płatki.

— Mamusiu!... Co? — Ja mam w puszce dwa złote. — No? — Możebym i ja mógł zastąpić św. Mikołaja i przynieść Witusiowi z sąsiedniego domu pierniczków? Położymy pod progiem, zapukamy i uciekniemy. Spadło z nieba i już! Dobrze, mamusiu? — Dobrze kochany. Zaraz się ubiorę i pójdziemy. A wiesz, co ci powiem jeszcze? ponieważ już wiesz, jak to jest z drzewkiem, to będziemy razem robić wieczorami ozdoby, razem ubierać drzewko!

O mamusiu!

I tak przeszli szczęśliwie od baśni do prawdy.

M. Czeska-Mączyńska.

Czasem wpadam do kościoła

Cóż milszego, jak wpaść na chwilkę do kościoła w dzień powszedni! Ogarnia człowieka cisza. Ludzi prawie wcale nie ma. Tylko przed wielkim ołtarzem czerwona lampka wskazuje, że czeka tu na Ciebie Pan Jezus... że cieszy się, iż Go odwiedzasz, że ciekaw, co Mu powiesz. I że rad Cię pocieszyć.

Pamiętam, jak w ciągu pierwszych dwu lat po ślubie nieraz dochodziło między mną a mężem do nieporozumień. Znieważana bywałam tak okropnie, że czasem chwytała mnie rozpacz, co ja zrobiłam, że tak głupio wyszłam za mąż. Płakałam, zwierzałam się ze swego nieszczęścia przed rodzicami wreszcie złorzeczyłam mężowi. Ale piekło powstawało w domu coraz częściej zamiast odmiany na lepsze. Aż raz przyszło mi na myśl po takiej awanturze: Idź zaraz do kościoła i powiedz Panu Jezusowi wszystko o swej niedoli.

Poszłam, choć coś mnie powstrzymywało. Był wieczór. Uklękłam u wejścia. Lecz jakiś głos mi mówił: Podejdź do ołtarza, przed samego Pana Jezusa! Pobiegłam i strasznie płakałam. — Panie Jezu — mówiłam — czy zasłużyłam na takiego męża? Czy nie modliłam się do Ciebie przed ślubem: Daj mi dobrego męża?! Inne się nie modliły, a mają lepszego towarzysza życia niż ja. Odbierz memu mężowi życie lub mnie, bo nie wytrzymam dłużej tego!

I znów płakałam.

Lecz, dziwna rzecz, w odpowiedzi, w sumieniu, na te moje słowa — nic złego na męża nie usłyszałam. Przeciwnie. Coś mnie zawstydzało, że proszę o śmierć dla męża. Zdało mi się, że Pan Jezus wyrzuca mi:

Jak to! Niedawno tu, w tym samym miejscu, podczas ślubu przysięgałaś mężowi miłość, a teraz żądasz jego śmierci? Błogosławieństwo Boże dla Ciebie, kobieto, zależy od twej wierności dla męża, od twej dobroci dla niego. Mąż jest zły. To prawda. Ale zmienić go na lepsze możesz tylko ty. Po to ci go dałem na męża. W tym celu bądź lepszą dla niego, niż byłaś do tego czasu. I módl się tu często przede mną za niego. I nie skarż się na niego przed nikim, nigdzie, tylko przede mną, tu, w tym miejscu, w kościele. Tu ja Ci doradzę, jak masz dalej postępować. Wiem dobrze, jaki jest twój mąż, ale ja chcę, żebyś ty mi go prowadziła do nieba. Z twoją pomocą chcę uszlachetnić twego męża. Twoimi rękami chcę go zmienić na swego syna, twymi rękami chcę go zbawić. I za taką pracę chcę i tobie wynagrodzić w wieczności. Dobrocią zwycięża się zło. Sercem. Nie złością i nerwami. A cóż przystoi bardziej kobiecie, niż okazywać wielkie serce — komu jak komu — ale swemu towarzyszowi życia? Nie tylko ciebie kocham — mówił Chrystus — ale i twego męża. Bo i on jest moim dzieckiem. I za niego cierpiałem na krzyżu. Uszlachetniaj go więc. To jest twoja droga do zbawienia i do szczęścia już tu, na ziemi. Pamiętaj, zawsze ci w tym pomogę!

Wyszłam z kościoła zmiażdżona lecz z programem na całe życie. Nie od razu jednak umiałam uszlachetniać postępowanie swojego męża. Nie byłam przecież wcale na to nastawiona, gdy wychodziłam za mąż. Jeżeli zostałam żoną, to tylko dlatego, by mi było lepiej w życiu, gdyż takie wyniosłam z domu pojęcie o małżeństwie. Spostrzegłam teraz, że po prostu muszę sie zabrać za... wychowanie sobie męża na dobrego człowieka, na miłego przyjaciela życia. I dziwiłam się, że mi się to udaje. Że potrafię to coraz lepiej. Oczywiście, tysiące razy szło mi jak z kamienia, bo i ja popełniałam błędy; ale daleko częściej mąż okazywał się szlachetnym człowiekiem. Nie poznawałam teraz swego Jaśka. Kochał mnie. Stawał się czuły. A dziś? Trudno by mi było uwierzyć, że jakaś kobieta w Polsce ma lepszego ode mnie małżonka.

Szczególnie miłe są dla nas niedziele, gdy cały dzień przebywamy ze sobą. On bardzo kocha dziecko — nareszcie obdarzył nas Pan Bóg synkiem — a choć Andrzejek, to jeszcze bobo, gdyż zaledwie ma roczek, to zawsze, co niedzielę, zaniesie go tata choć na chwilę do kościoła przed ołtarz, by pokazać mu Bozię.

Jestem obecnie szczęśliwa, a tej drogi do szczęścia nauczył mnie Pan Jezus, gdy odwiedzałam Go w kościele. Teraz też tu przychodzę, ale dziękować Jezusowi za dobrego męża i modlić się za niego.

Czasem wejście do kościoła, w dzień powszedni, gdy nikogo nie tam nie ma, może stać się źródłem wielkich natchnień. (Kółko Róż.)

Pokojowa praca

Z nowym rokiem zaczyna się nowy okres pracy. Wykonane terminowe prace starego roku pozwalają na rozpoczęcia prac roku nowego. Dla człowieka pracy nowy rok ma być rokiem pracy, a nie rokiem odpoczywania i marnotrawstwa czasu.

Żyjemy w okresie walki o pokój. I właśnie ta walka wymaga pracy. Praca dla pokoju jest pracą dla dobra pokoleń, trwa wieki i niesie dobrobyt.

Człowiek pracujący pragnie trwałości owoców pracy. „Warty pokoju"

JAN MATEJKO

Pierwszego listopada ub. roku minęło 57 lat od śmierci najznakomitszego malarza polskiego Jana Matejki. Cały swój żywot poświęcił on na tworzenie wiekopomnych obrazów, które stały się dzięki swej treści historycznej własnością całego Narodu Polskiego.

Jan Matejko urodził się dnia 30 czerwca 1838 roku w Krakowie. Ojciec artysty, Franciszek, pochodził z Czech. Koło roku 1818 osiadł ojciec Matejki w Krakowie, pełniąc funkcje nauczyciela muzyki. Matką jego zaś była rodowita krakowianka Joanna z domu Rossberg. Zamiłowanie do rysunku miał Jan Matejko już od dziecka. Kształcił się w liceum św. Anny, ale w roku 1852 przeszedł z klasy 3-ciej do Szkoły Sztuk Pięknych, prowadzonej pod kierownictwem Stattlera, później zaś Łuszczkiewicza. Mając lat 15 tworzy pierwsze swe obrazy między innymi obraz pt. „Wjazd Henryka Walezjusza do Krakowa". W roku 1854 namalował zbiorowy portret rodziny Matejki. W tym czasie tworzy drobne akwarele o tematach historycznych, portrety, maluje widoki Krakowa i różne zabytki tegoż miasta. Matejko wydał obszerne, ciekawe dzieło „Ubiory w Polsce". Obrazy artysty jak „Karol Gustaw u grobu Łokietka" i inne, zwracają uwagę szerokiego ogółu. Koło roku 1857 otrzymuje Jan Matejko stypendium i wyjeżdża na studia do Monachium. Dwa lata później na wystawie obrazów w Krakowie, w roku 1859 wystawia obraz pt. „Otrucie królowej Bony".

Po krótkim pobycie w Wiedniu Matejko wraca na zawsze do Krakowa.

Artysta zadziwia świat artystyczny, publiczność całą swoimi dziełami malarskimi, z których bije monumentalność i siła wyrazu. Koło roku 1862 powstaje obraz jego „Kochanowski u zwłok Urszulki". Na rok 1872 przypada wyjazd Matejki do Konstantynopola. Owocem tej podróży jest piękny obraz: „Utopiona w Bosforze". Ale najpotężniejszym dziełem Matejki, nad którym pracował 3 lata, jest potężny w swym wykonaniu i wyrazie obraz: „Bitwa pod Grunwaldem".

Od roku 1873 zastajemy artystę na stanowisku dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie. W latach 1879 do 1882 pracuje nad wielkim obrazem pt. „Hołd Pruski". Dzieło to otrzymało w Berlinie złoty medal, ale nie został on mu doręczony z powodu protestu cesarza Wilhelma. Rok później następuje inny, również wspaniały obraz historyczny „Sobieski pod Wiedniem". Prócz tych obrazów malował i obrazy religijne. Koło roku 1889 tworzy liczne szkice do polichromii kościoła Mariackiego w Krakowie.

Jan Matejko mieszkał w Krakowie w domu przy ulicy Floriańskiej, w którym urodził się, mieszkając aż do zgonu. Umarł znakomity artysta, największy malarz polski dnia 1 listopada 1893 roku. Jeszcze na krótko przed swą śmiercią namalował portret własny. Zmarł geniusz malarstwa polskiego, narodowy artysta. Pamięć o nim nigdy nie zgaśnie.

W. Lubczak

---

chronią przed wojną pracę planową i spokojną i trwałą w skutkach. Są stwierdzeniem codziennym pokojowej pracy. Robotnik podnosi kilof dla dobra ludzkości.

Polska jest krajem pracy. Pracą zabliźniamy rany ostatnich wojen, Pracą kierowaną przez Państwo zadziwiamy przybyszów zagranicznych. Na planowej pracy oparta jest nasza przyszłość. Zaledwie wykończono wielkie bloki mieszkaniowe w Warszawie idzie praca nad reprezentacyjną dzielnicą mieszkaniową przy ul. Marszałkowskiej, która da pomieszczenie dla 45 tys. robotników i urzędników. Do wybudowania Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej (MDM) zostanie zużyte 10 tys. ton żelaza, 100 tys. m. kw. kamienia okładzinowego, 20 tys. m. kw. szkła lustrzanego na szyby wystawowe. Murarze wymurują 1.820.000 m. sześć. budynków. Rezultatem tej pracy zostanie oddane do użytku w roku 1955 6 tys. mieszkań.

Z nowym rokiem rozpocznie się również budowa Metra Warszawskiego, czyli kolei podziemnej. Decyzję tę powzięto w dniu 14 grudnia ub. r. W pierwszym okresie prac przewiduje się między innymi wiercenie szybów oraz zagospodarowanie i urządzenie placów budowy. Do końca 1956 roku będą całkowicie zbudowane i w pełni oddane do użytku odcinki, których wykonanie jest potrzebą najbardziej palącą, a mianowicie na linii Północ—Południe i Wschód—Zachód. Odcinki te będą mieć długości około 11 km., z łączną liczbą 11 stacji. Na wykończonych do końca 1956 r. odcinkach 6-wagonowe pociągi elektryczne przebiegać będą w godzinach największego natężenia w odstępach około 2 minut. Dzięki temu już na początku 1957 roku Metro Warszawskie będzie mogło przewieźć na jednej linii w jednym kierunku pół miliona pasażerów na dobę. W ten sposób zostanie rozwiązana sprawa komunikacji w Warszawie.

I w ten sposób polski robotnik i polski inżynier stwierdzi wolę pracy i pokoju. **wc.**



Dziecię Jezus

Wiadomości

Z ŁĄŻYNA

W odległości 2 km na północ od autostrady Toruń-Warszawa, w zachodnim krańcu powiatu lipnowskiego — leży stara parafia — Łążyn. Obszar jej skupia kilka wsi rozciągających się w przyległych okolicach, około 3000 parafian.

Stary już, murowany kościółek wzniesiony na wzgórku w połowie wsi, od wielu lat służył wiernym katolikom za miejsce modlitwy.

Już przed wojną zauważono jednak, że robi się za ciasno. Droga od myśli do czynu była krótka i w połowie 1939 roku stanęły mury tzw. „nowego kościoła" czyli dobudowanej części.

Przez całą wojnę aż do wiosny 1950 roku, świeciły żałosną czerwienią i okrągłymi otworami okien wyniosłe mury „nowego", a trzeszczały pod naciskiem nie mogących się zmieścić wiernych mury starego kościoła, połączonych ze sobą ścianą i zakrystią.

Na kilka niedziel przed Wielkanocą przybył do naszej parafii nowy proboszcz ks. Zenon Smogorzewski. Stan kościoła był wtedy krytyczny. Groził zawaleniem sufit, trzeszczały ściany, odpadały tynki — trzeba było pomocy. Jak jeden mąż stanęła cała parafia do zwożenia drzewa, wapna, piasku i innych materiałów budowlanych.

Całe lato i jesień trwała energiczna, nieprzerwana praca mimo ciężkich prac sezonowych, a wynik jaki osiągnięto dzięki przykładowi zrozumienia parafian okazał się wspaniały. Jednak prace trzeba było przerwać z powodu zimy. Dziś cały kościół już stoi przykryty srebrnym eternitem a wewnątrz ukończono ostatnie prace przy welbowaniu narazie jeszcze z desek. Świątynia zmieniła całkowity wygląd tak wewnętrzny jak i zewnętrzny, powiększyła się o dwie duże kaplice i dłuższą, główną nawę.

Teraz miejsca nie zabraknie dla nikogo, nikt już nie będzie potrzebował stać na dworzu, kościół pomieści wszystkich.

Kongres Eucharystyczny w Rosario.

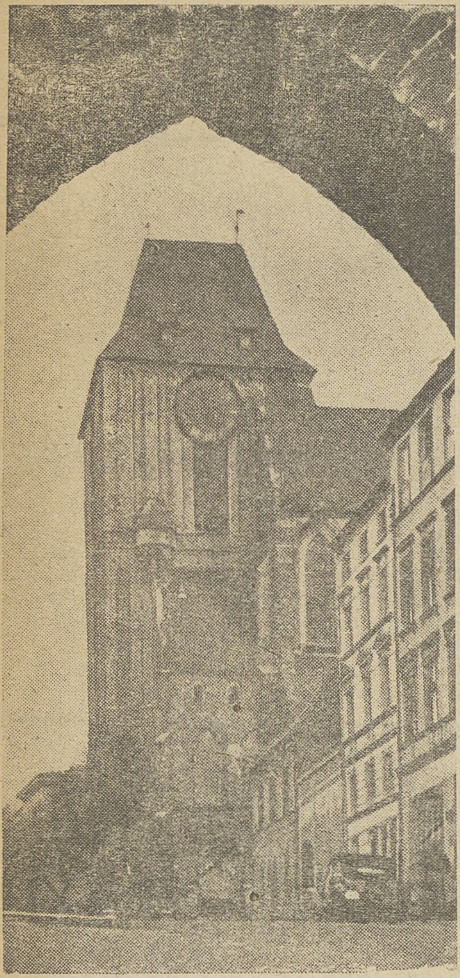
W mieście Rosario w Argentynie odbył się Kongres Eucharystyczny z udziałem kilku kardynałów, 40 arcybiskupów i biskupów oraz przeszło 500 tys. wiernych. Pontyfikalną Mszę św. celebrował arcybiskup w San Paulo kardynał de Mottas. Na zakończenie kongresu wierni wysłali do Ojca św. Piusa XII telegram z zapewnieniem jedności w modlitwach do Jezusa Eucharystycznego i wyrazami hołdu. Telegram podpisał, bawiący chwilowo w Rosario, kardynał Rufini, arcybiskup Palermo.

Święcenia kapłańskie Murzynów.

Z początkiem listopada w wikariacie apostolskim Niangara w Kongo Belgijskim 4 seminarzystów tubylców otrzymało święcenia kapłańskie. Obecnie w wikariacie tym działa 70 misjonarzy w tym 9 księży tubylców. Nadto przygotowuje się do pracy misjonarskiej 14 dalszych kleryków-murzynów.

W Bazylice św. Jana w Toruniu

Potężny dzwon Tuba Dei, w dniu 24 grudnia 1950 roku w Toruniu, przyniósł katolikom grodu Kopernika wieść: po trudach wielu lat dokonano odsłonięcia odrestaurowanego prezbiterium w Bazylice św. Jana. Był to dzień słoneczny. Witraże sączyły promienie do wnętrza. W ich blasku zakwitło piękne gotyckie sklepienie gwiaździste. Przez tłumy wiernych szedł ku głównemu ołtarzowi pasterz Diecezji Chełmińskiej J. E. Ksiądz Biskup dr Kazimierz Kowalski. Wśród lasu chorągwi kościelnych, wśród złoceń ołtarzy i tryptyków, uniosła się w górę pieśń wiernych...



Pontyfikalną Mszę św. w godzinach rannych celebrował Ordynariusz Chełmiński, kazanie wygłosił J. E. Ks. Biskup Sufragan B. Czapliński. Na uroczystości przybyło kilkunastu księży. Śpiewał Chór Świętojański pod dyrekcją Rutkowskiego.

W swoim kazaniu Biskup omówił historię Bazyliki św. Jana od roku 1235. W czasie tym był to kościół drewniany, ale już w roku 1300 wzniesiono go z cegieł, a w roku 1350 powiększono. Bogata jest historia najstarszej świątyni gotyckiej w Toruniu jednej z najstarszych na Pomorzu.

Dzięki pracom konserwatorów usunięto tynk, pod którym odkryto cegłę (składaną w formie krzyża) i freski. Z obu stron głównego okna odświeżono freski, które wyobrażają św. Jana Chrzciciela i Jana Ewangelistę. Są to patronowie Bazyliki św. Jana utrwalone w rozmiarach znacznie przewyższających wielkość naturalną. Z lewej strony prezbiterium, nad wejściem do zakrystii znajduje się słynne Ukrzyżowanie. Przedstawia ono Chrystusa na drzewie genealogicznym, wyrastającym z ciała Jessego. Ponadto znajdują się tam postacie i sceny symboliczne. „Ukrzyżowanie" powstało około 1380 roku. Ołtarz główny zastąpiono w prezbiterium ołtarzem pod wezwaniem św. Wolfganga. Jest to piękny i złocisty tryptyk gotycki, pochodzący z lat 1501-1506. W pośrodku tego ołtarza widnieje św. Wolfgang w otoczeniu św. Bartłomieja i św. Jakuba. Poniżej predella z figurkami świętych. Cześć, która mieści tabernakulum, jest zbudowana wg. projektu toruńskich artystów i konserwatorów w tonie brunatnego hebanu. Na skrzydłach otwartych tego ołtarza znajdują się czterej ojcowie kościoła (św. Augustyn, Ambroży, Grzegorz i Hieronim). Całość świeci się od złoceń w głębokiej wnęce prezbiterium. Zaznaczyć należy, że odmurowano także okno, które uzyska za kilka miesięcy witraże wg. projektów artysty Kwiatkowskiego. Pięknie przedstawia się gwiaździste sklepienie gotyckie upiekszone wspornikami i okrągłymi malowidłami.

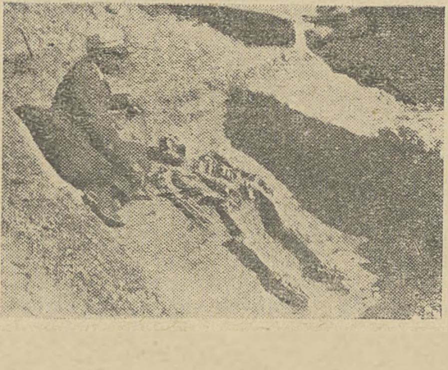
Ten kościół — powiedział biskup — wyrósł z trudu nieznanego robotnika i rzemieślnika i nieznanego artysty. Jego strzeliste nawy zamknęły w sobie na zawsze myśl o Wielkim Bogu, który trwa.

Wiesława

Wiadomości

W Rzymie otrzymał sakrę biskupią ks. Hoan Van Doan, tubylec z Viet Namu. Jest to już siódmy biskup spośród tamtejszej ludności. Biskup Doan ma lat 36; obejmuje diecezję Bac Nink.

W ubiegłym roku prasa doniosła o licznych pracach naukowo-badawczych w związku z wyjaśnieniem początków państwa polskiego i podstaw jego rozwoju. Są to przygotowania do tzw. Millenium (Tysiąclecia). Na podstawie znalezionych czaszek z 12 i 15 wieku w Kruszwicy i Lednicy stwierdzono, że ludność pierwotnego ośrodka państwowości piastowskiej nie wykazuje śladów domieszki obcej narodowości, tak, że jesteśmy na swojej ziemi gospodarzami a nie przybyszami.



Prof. Jan Czekanowski w jednym ze swoich artykułów podkreśla potrzebę uwzględnienia dokumentów przeszłości reprezentowanych przez szczątki ludzkie.

ZBIÓRKA NA DZIECI

W całym kraju odbywa się zbiórka na dzieci koreańskie. Do tej akcji włączyły się organizacje młodzieżowe. Jak donosi prasa codzienna w Łodzi (śródmieście) „trójki" młodzieżowe zebrały 260 sztuk bielizny — wartości 3 tys. złotych i gotówką 1.952 złote. Członkowie drużyny harcerskiej przy Szkole Podstawowej w gromadzie Powiercie, postanowili z zebranej przez siebie wełny, wykonać własnoręcznie rękawiczki i szaliki i przesłać je jako podarki dla dzieci koreańskich. Są to wycinki z akcji, która prowadzona jest w całej Polsce.

Katolicy w Indonezji.

Parlament indonezyjski przyjął 90 głosami przeciw 18, przy 2 wstrzymujących się nową konstytucję. 7 posłów katolickich i większość protestanckich głosowało za konstytucją. Dzięki nim osiągnięto 2/3 głosów potrzebnych do uchwalenia konstytucji. Chrześcijanie mimo to nie są zadowoleni z tej konstytucji. W nowym rządzie indonezyjskim jest dwu katolików: minister rolnictwa i minister bezpieczeństwa publicznego. Nowi ministrowie złożyli już przysięgę, każdy według swej religii.

Nowi misjonarze szwajcarscy.

Z Berna donoszą, że Szwajcarię opuściło w tych dniach 8 księży misjonarzy, udających się na misje zagraniczne. Siedmiu z nich wyjechało do jednego z wikariatów w Rodezji południowej, jeden do Japonii. Z chwilą dobicia do celu tych księży, liczba misjonarzy w tej prowincji rodezyjskiej (Port Wiktoria) wyniesie 40 księży i 8 braci.

6 Japończyków w zakonie.

Donoszą z Tokio, że 6 młodych Japończyków zostało przyjętych do zgromadzenia „Braci Szkół Chrześcijańskich". Jest to wypadek o tyle znamienny, że ci młodzi Japończycy należą do najwyższych sfer inteligencji, są albo docentami uniwersytetu, albo doktorami z różnych dziedzin wiedzy. Wypadek ten wywołał tym większe wrażenie, że ci młodzi ludzie stanowili kółko oddane studiom naukowym religii.

DO P.T. PRENUMERATOROW

W związku z przejęciem, na podstawie rozporządzenia Prezesa Rady Ministrów, prenumeratę i kolportaż wszystkich pism przez Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch" uprzejmie prosimy P. T. pojedyńczych prenumeratorów o dokonywanie przedpłat na prenumeratę tygodnika do dnia 20-go każdego miesiąca na miesiąc następny na konto nr VI-231, PKO. Bydgoszcz. W przeciwnym razie P.P.K. „Ruch" wstrzyma wysyłkę tygodnika.

Redakcja i Administr.: Włocławek, ul. L. Waryńskiego 4. Tel. 16-49. Skrzynka pocztowa nr 3. Konto PKO. Nr VI-231/114.
Przyjmuje w godz. od 8—10. Prenumerata z przes. poczt. kwartalnie zł. 7.20, półroczna zł. 14.40, roczna zł. 28.80.
Wydawca: Kuria Diececzjalna. TZG. Oddz. Nr. 2 — Włocławek, Waryńskiego 4. Nr. zam. 2655 — 22. 12. 50 — E 2-14115—25.000